

ROZDZIAŁ IV

4 lipca 2005 r.

Dzisiejszy poniedziałkowy dzień, znów upalny jak poprzednie, jest w USA wolny od pracy ze względu na Święto Niepodległości, najbardziej uroczyście obchodzone w tym kraju. W tym roku obchodzone jest po raz 229-ty, od kiedy 4 lipca 1776 r. tzw. Kontynentalny Kongres, złożony z przedstawicieli trzynastu kolonii brytyjskich w Północnej Ameryce, zebrany na sesji w Filadelfii i w tym dniu przemianowany na Kongres Generalny Stanów Zjednoczonych Ameryki, uchwalił Deklarację Niepodległości. Niepodległość USA jednakże, choć już od 1777 r. świętowana jest każdego roku, nie nastąpiła wraz z ogłoszeniem Deklaracji. Wojna amerykańskich kolonii z brytyjską metropolią, rozpoczęta 19 kwietnia 1775 r., z różnym nasileniem i zmienną fortuną dla walczących stron, trwała bowiem nadal. Formalnie, wojna skończyła się dopiero w wyniku podpisania przez nie 3 września 1783 r. Traktatu Paryskiego, choć faktycznie walki wygasły już prawie dwa lata wcześniej, a w marcu 1782 r. Wielka Brytania uznała niepodległość USA.

O przyczynach i przebiegu Wojny o Niepodległość USA, zwanej też Amerykańską Rewolucją, nie będę rozpisywał się, ale muszę wspomnieć, że wkraczając na drogę niezawisłego bytu liczyły one tylko nieco ponad 2,7 mln mieszkańców (uwzględniając tylko tych europejskiego, a ściślej brytyjskiego pochodzenia, gdyż niewolników murzyńskich i tubylczą ludność indiańską nikt za Amerykanów nie uważał). Zajmowany zaś przez nowonarodzone USA obszar wynosił ok. 888,7 tys. mil kwadratowych, czyli ok. 2,3 mln km kwadratowych. Kraj był więc duży, ale słabo zaludniony i gdyby miał takich sąsiadów, jak chyląca się w tym czasie do upadku I Rzeczpospolita, to pewnie długo swojej niepodległości nie utrzymałby, jeśli w ogóle wybiłby się na nią.

Dziś, w 2005 r., ludność USA przekroczy pewnie 300 mln, nie licząc nielegalnych mieszkańców, których ilość ocenia się na co najmniej 11 mln. Obszar USA wynosi zaś nieco ponad 3,7 mln mil kwadratowych, czyli niewiele ponad 9,2 mln km kwadratowych.

W czasie swojego 229-letniego istnienia, ludność USA wzrosła więc ponad 111-krotnie, podczas gdy obszar zwiększył się 4-krotnie.

Od strony demograficznej, USA są dziś po Chinach i Indiach, trzecim najludniejszym krajem świata (do rozpadu ZSRR w 1991 r. były czwartym), a pod względem zajmowanego obszaru są również trzecim największym krajem, po Rosji i Kanadzie.

USA są też największą gospodarczą potęgą świata, dając ok. ¼ jego produkcji oraz największą potęgą militarną, choć uwzględniając broń masowej zagłady, nuklearną zwłaszcza, swoje pierwsze miejsce dzielą zapewne z Rosją (jeśli jej nie ustępują).

Piszę o tych szczegółach dlatego, że USA, pomijając już przyczyny tego, są obecnie moją Ojczyzną, jak i mojej najbliższej rodziny. Dzisiejsze święto narodowe USA jest więc również naszym świętem, aczkolwiek uroczyste go nie obchodzimy i nie dlatego, że mamy obojętny czy nieprzyjazny stosunek do naszej przybranej Ojczyzny.

No dobrze, ale jaki mam stosunek do mojej nowej Ojczyzny?

Do USA ja z Niunią i Ewą, jak okazało się na stałe, przybyliśmy niemal o północy w Wigilię Bożego Narodzenia, 24 grudnia 1981 r. Potem z Belgii przybył jeszcze przyszły zięć, Etienne, a więc z naszej trójki zrobiła się czwórka, a po latach szóstka.

Obywatelem USA zostałem 5 listopada 1991 r., pięć lat po Niuni, Ewie i Etiennie, jako że byłem ongiś członkiem partii komunistycznej i musiałem przejść 10-letnią „kwarantannę”. Kongres USA mógł mi ten okres skrócić o pięć lat, ale go o to nie prosiłem, łudząc się ciągle, że może przyjdzie mi kiedyś powrócić do Polski.

W USA żyję już 23,5 roku, ale w rzeczywistości znam je znacznie dłużej. Z Amerykanami, najpierw duchowo, a potem fizycznie, zetknąłem się dużo wcześniej. Duchowo spotkałem się z nimi w kinie i komiksach, jeszcze przed wojną. Jako dziecko oglądałem bowiem z wypiekami na policzkach filmy i ryciny z kowbojami amerykańskimi, a największym moim marzeniem było mieć Colta i strzelać, strzelać bez końca! W czasie niemieckiej okupacji dorywałem skądś książki amerykańskie w polskim tłumaczeniu, które pasjami pochłaniałem. Z jednej zapamiętałem do dziś zdanie, że „amerykańscy chłopcy są jak sosny, a dziewczęta jak kwiaty”, gdyż...myją się w zimnej wodzie i piją dużo mleka! Co rano myłem się więc w zimnej wodzie, a za mlekiem przepadałem dziesiątkami lat... O Amerykanach zresztą, w Polsce nie

można było źle słyszeć. Ojciec, który gdzieś się z nimi zetknął w czasie wojny polsko-bolszewickiej, wynosił ich pod niebiosa, a o pomocy USA dla nowonarodzonej Polski słyszałem od dziecka. W czasie wojny z kolei, ludzie święcie wierzyli, że Polskę wyzwolą Amerykanie i to nawet wtedy, kiedy Armia Czerwona była tuż tuż! Ba, wielu Polaków jeszcze wierzyło, kiedy już Armia Czerwona spadła na nich, że nie zagrzeje ona długo miejsca w Polsce, gdyż Amerykanie ją przegonią, a ZSRR zmiotą z powierzchni ziemi bombą atomową.

W to już jakoś nie wierzyłem, ale za to o USA słyszałem na każdym kroku. Grano i tańczono *boogie-woogie*, a nade wszystko tak oto śpiewano:

*- To jest Ameryka, to słynne USA,
Bogaty kraj, na ziemi raj!
Tam możesz mieć miliony,
Tam możesz mieć cztery żony
I to wcale nie jest źle!*

Ameryka dotarła też do mojego domu w postaci dostaw UNRRA. Z wojny wyszedłem w jednej koszuli, spodniach i marynarce przerobionych z niemieckiego munduru, w kurtce z koca i z niemieckimi saperkami na nogach, które „zdobyłem” 2 września 1944 r. w bitwie partyzantów z Niemcami pod Grodziskiem/Radoszycami, w którą zaplątałem się przypadkowo. Teraz zamieniłem to wszystko na amerykański mundur granatowego koloru, buty wojskowe i brązową „kanadyjkę”. W domu jadłem amerykańskie konserwy i inne smakołyki, których nie widziałem od lat.

Miałem więc wszelkie powody, żeby do USA mieć jak najlepszy stosunek.

Może nawet tak i byłoby, gdyby nie pewien incydent, który mój początkowy zachwyty nad USA zmienił raptem w niechęć, jeśli nie wrogość.

Wynikło to stąd, że zaraz po wojnie jakoś dotarło do mnie, że Polska bez jej „piastowskich ziem” nie mogłaby normalnie egzystować. Dlatego też bardzo przeżywałem wyczytywane w gazetach doniesienia, że Wehrwolf, niemiecka partyzantka, walczy z Polakami na tych ziemiach. Stąd, we wrześniu 1945 r. wstąpiłem do ZWM, Związku Walki Młodych,

który w Końskich poszukiwał ochotników do walki z Wehrwolfem. Nic w końcu, tak naprawdę, z tej walki nie wyszło, choć byłem w lipcu 1946 r. na obozie ZWM w lesie koło Dusznik Zdroju, gdzie w nocy pełniłem często z automatem służbę wartowniczą z obawy przed atakiem Wehrwofu. Przy okazji tego pobytu zauroczyłem się Ziemiąmi Odzyskanymi i gotów byłem za nie polec.

Dlatego też tak bardzo piorunujące wrażenie wywarła na mnie mowa Jamesa Byrnesa, Sekretarza Stanu USA, wygłoszona 6 września 1946 r. w Stuttgarcie, w której zakwestionował powojenne polskie granice zachodnio-północne. Mowę jego odpowiednio wtedy nagłośniono i nie jeden Polak był nią zaskoczony, jeśli wręcz nie oburzony, jak to było w moim przypadku.

Wszystko to jednak nie było oczywiście żadną znajomością USA, choćby z tego prostego powodu, że do lipca 1950 r. nie widziałem na oczy Amerykanów. Po raz pierwszy w życiu i tylko przelotnie zobaczyłem ich w Gdyni, gdzie przy wybrzeżu był przycumowany amerykański statek handlowy i akurat wychodzili z niego marynarze. Żaden z nich nie przypominał mi jednak znanych z ilustracji i kina Amerykanów. Marynarze, żadne „sosny”, byli głównie kolorowi, opaśli i byle jak ubrani.

Po raz drugi zobaczyłem Amerykanów na początku marca 1953 r., kiedy to byłem przez dwa tygodnie w radzieckiej strefie okupacyjnej w Austrii na międzynarodowym obozie studenckim, a potem przez trzy dni w Wiedniu, okupowanym przez cztery mocarstwa. Wtedy ujrzałem paru amerykańskich wojskowych na ulicy, tym razem białych i dobrze wyglądających.

Wkrótce jednak przyszło mi spotykać Amerykanów i to już bardzo wielu.

W lipcu 1953 r. wyjechałem bowiem wraz z polskim kontyngentem wojskowym do Korei, w związku z rozpoczynającą się tam misją Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych, NNSC, składającej się z czterech krajów - Czechosłowacji, Polski, Szwajcarii i Szwecji. Zadaniem jej było prowadzić kontrolę wykonywania warunków rozejmu na Półwyspie Koreańskim, zawartym 27 lipca 1953 r. A ponieważ służbę swoją pełniłem w Sekretariacie Komisji, położonym w strefie zdemilitaryzowanej w Panmundżonie, patrolowanej zarówno przez Amerykanów jak i Chińczyków oraz Północnych Koreańczyków, więc tych pierwszych

widywałem codziennie i to wielokrotnie. Co więcej, ponieważ m. in. byłem tzw. oficerem inspekcyjnym, więc bardzo często musiałem chodzić do dużego namiotu obok mojego baraku, w którym mieścili się amerykańscy oficerowie łącznikowi. Mój angielski był już wtedy na tyle dobry, że mogłem się z nimi porozumieć nie tylko w sprawach ściśle służbowych, ale nawet wdawać się w rozmowy na każdy dowolny temat. Oficerowie ci odwiedzali mnie również często w Sekretariacie, zwłaszcza kiedy w ramach rotacji byłem przez miesiąc jego szefem.

Oficerowie amerykańscy, z reguły starsi stopniem, wszyscy biali, czynili na mnie bardzo dobre wrażenie. Byli układni, inteligentni, rozmowni i w ogóle „fajni” ludzie. W Sekretariacie miałem też pod ręką różne publikacje amerykańskie, łącznie z wojskowym dziennikiem *Stars & Stripes*, a ponieważ Szwedzi i Szwajcarzy mieli jeszcze przenośne aparaty radiowe, nastawione na odbiór stacji amerykańskich, więc czułem się po części jakbym był w USA.

Na początku stycznia 1954 r., co więcej, udałem się jeepem pod eskortą amerykańskiej MP, Military Police, najpierw do Seulu, a stamtąd samolotem wojskowym C-54 do Taegu, gdzie znajdowało się największe w Korei amerykańskie lotnisko wojskowe K-2 (stacjonowało na nim ok. 360 samolotów wojskowych różnych typów). W Taegu, wraz z pozostałymi członkami czteronarodowej NNIT, Grupy Inspekcyjnej Nr. 7, zamieszkałem w blaszanym, ale bardzo wygodnym baraku, jednym z wielu, tuż koło kwatery Dowództwa VIII Armii USA, która pod flagą ONZ prowadziła w czasie wojny bojowe działania lądowe przeciwko siłom chińsko-północnokoreańskim.

Pobyt w obozowisku był dla mnie doskonałym miejscem obserwacji amerykańskiego personelu wojskowego. Posiłki spożywałem w kantine oficerskiej, służbę pełniłem na lotnisku, gdzie całymi godzinami rozmawiałem z towarzyszącymi mi oficerami amerykańskimi z USAF, czyli z sił powietrznych USA, a ponadto miałem też codzienny i częsty kontakt z maj. Plantamurą, oficerem łącznikowym Grupy, lub jego zastępcą, kpt. Burantem, polskiego pochodzenia z Chicago.

Po powrocie z Taegu do Panmundzonu (po niecałych dwóch miesiącach) kontaktu z Amerykanami nie straciłem, gdyż nadal byłem w Sekretariacie, ale już wkrótce, w końcu marca

1954 r., udałem się koleją via Pekin i Moskwa w drogę powrotną do kraju wraz z całą rotowaną grupą naszego kontyngentu wojskowego.

Amerykanów poznałem więc jako tako z bezpośrednich z nimi kontaktów w Korei i na ogół nabrałem do nich wiele sympatii. Pomimo to, o „wybraniu wolności”, jak to uczynił jeden z naszych tłumaczy, Jan Hajdukiewicz, ani przez chwilę nigdy nie myślałem i to z wielu powodów. Po pierwsze, nigdy nie rozstałbym się z Niunią, którą zamierzałem poślubić po powrocie do kraju, a po drugie, to o ile nie czułem wrogości do Amerykanów, to jednakże czułem do nich pewien żal. Podobnie bowiem jak większość Polaków, posądzałem ich i Anglików o „sprzedanie” nas w czasie wojny.

Nawet więc jeśli USA nie znałem i nie byłem nimi z innych względów zachwycony, to jednakże w porównaniu z ZSRR jawiły mi się one w *pozytywnym* świetle. Zwłaszcza po tym jak ZSRR zobaczyłem z naszego wojskowego transportu, którym od Brześcia do Otporu na chińskiej granicy przemierzaliśmy go przez dwa tygodnie, zatrzymując się w Moskwie i wielu innych miastach na trasie, przez wiele godzin. Nie tylko nie jawił mi się on żadnym „rajem”, ale był wręcz przerażający! USA uważałem więc za kraj o niebo lepszy od ZSRR. Nie oskarżałem też USA o wywołanie wojny w Korei, jak to oficjalnie czyniono w PRL i całej tzw. wspólnocie socjalistycznej, a więc tym bardziej patrzyłem na nie przychylnym okiem. Co najwyżej nie mogłem tylko zrozumieć, że nie były one w stanie pokonać w wojnie przeciwnika, którym głównie byli „chińscy ochotnicy”. Masy ich widziałem w strefie zdemilitaryzowanej, w Kesongu i innych miejscach i wcale mi nie wyglądali na groźnych żołnierzy, a raczej na schludną i zdyscyplinowaną dzieciarnię szkolną. Uzbrojeni jedynie w broń strzelecką i ręczne granaty, przy Amerykanach, o ponad głowę wyższych i nowocześnie uzbrojonych, „ochotnicy chińscy” wyglądali dla mnie wręcz niepoważnie. A jednak, jak to potem wielokrotnie słyszałem od Amerykanów, znających ich z pola walki, byli oni *superb*, czyli wspaniałymi żołnierzami, wytrwałymi i nieustraszonymi! Piloci twierdzili z kolei, że lotnictwo radzieckie wspierało ich aktywnie z powietrza i że z takim przeciwnikiem bez broni atomowej wojny nie można było wygrać. Przyznam szczerze, że tego rodzaju opinie podkopywały bardzo moją wiarę, jakżeż

powszechną u współrodaków, w amerykańską wszechmoc (potem, kiedy już więcej wiedziałem o radzieckich postępkach w broni nuklearnej, moja wiara w ową wszechmoc uległa tylko dalszemu podkopaniu). Tym niemniej, w Amerykanach czułem bratnią duszę, czego nie mogłem powiedzieć o nacjach z tzw. bratnich krajów, zwłaszcza północnych Koreańczykach i Chińczykach. Ci ostatni, choć niezwykle wobec nas ugrzecznieni i gościnni (przez dwa i pół miesiąca byłem codziennie na wystawnych obiadach u chińskiego generała, dowódcy Frontu), wydawali mi się obcy, szczególnie kiedy mieszkając w Sztacie w Kesongu do późnych godzin nie mogłem zasnąć ze względu na hałas chińskiej muzyki, polegającej na monotonnych dźwiękach gongów i bębnów i podobnie monotonnych skrzekach różnych piszczałek. Stokrotnie bliższa była mi muzyka amerykańska, aczkolwiek za *country music* nie przepadałem już wtedy i nadal nie przepadam.

Po powrocie do kraju - jak to już częściowo wspominałem w innym rozdziale - po prawie pięciu latach zacząłem znów mieć sporo i bardzo ciekawych kontaktów z Amerykanami, tym razem wyłącznie z dyplomatami, głównie na forum GATT i ECE, Europejskiej Komisji Gospodarczej, agendy ONZ w Genewie.

W międzyczasie, swoją wiedzę o USA bardzo pogłębiłem i to z powodów godnych wspomnienia.

USA, zapewne CIA, chcąc jakoś zdobyć kontakty z ludźmi za tzw. żelazną kurtyną, chwyciły się dość prymitywnego i nieskutecznego fortelu, posyłając tonami na chybił trafił, na różne adresy wszelkiego rodzaju książki w języku angielskim, często o dużej wartości naukowo-poznawczej. Książki - o co na karteczkach pod ich okładkami prosili nadawcy - miały służyć nawiązaniu kontaktu z odbiorcami. Tyle tylko, że one nigdy do nich nie dochodziły, gdyż przechwytywała je Poczta Główna, a następnie przekazywała je do Głównego Urzędu Kontroli Prasy, czyli cenzury, gdzie niemal natychmiast szły na przemiał! Kolega mój, Sergiusz Mikulicz, który tam przejściowo pracował, nie mogąc tego przeboleć zapytał swoich przełożonych, czy choćby część tych książek nie dałoby się jakoś uratować. Dostał na to zgodę i poradził się mnie jak to zrobić, a ja wpadłem na pomysł, żeby nadsyłane książki, przynajmniej w części, mogły

zasilić bibliotekę przy Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Zwłaszcza, że bibliotekarka zobowiązała się ze swoim personelem oczyścić każdą książkę ze wspomnianych karteczek.

I w ten sposób do biblioteki zjechały dwie ciężarówki z książkami! Czego wśród nich nie było! Godzinami przebierałem w nich, wyszukując książki o treści ekonomicznej, politycznej, wojskowej i historycznej. Dziesiątki z nich zabrałem do domu i gdybym miał na nie więcej miejsca, to zabrałbym ich setki!

Latami więc dzięki temu miałem nieprawdopodobną „wyzerkę”! Książki dokładnie czytałem, często je nawet konspektowałem, a ponieważ w większości dotyczyły one USA i Zachodu w ogóle, więc obkułem się niecodziennie w ich problematyce.

A propos, w czasie pobytu na stypendium w Genewie miałem okazję odbycia dłuższej rozmowy z przebywającym tam czasowo Oskarem Lange, słynnym w całym świecie ekonomistą. Zaciekawiony niektórymi moimi wywodami ekonomicznymi, zapytał skąd wiedziałem o niektórych problemach. Powiedziałem mu, że z nieprzemielonych książek, prosząc go jednocześnie jako członka KC PZPR i wiceprzewodniczącego Rady Państwa, żeby coś zrobił dla ratowania niszczonej książki. Lange coś mrucał pod nosem, a potem tak oto rzekł do mnie:

- Jak towarzyszu już powrócicie do kraju i znów będziecie mieli okazję zdobyć partie nowych książek ekonomicznych, to bardzo proszę nie zapomnijcie o mnie...

Powracając po tej dygresji do przerwanej tematyki, prawdą było, że USA, mimo czytania o nich, nie znałem z bezpośredniego kontaktu. Coś niecoś liznąłem Europy Zachodniej, poczynając od wspomnianego już krótkiego pobytu w okupowanej Austrii, a potem już nieco dłuższego w Szwajcarii i wizyt w paru innych krajach, takich jak RFN, Wielka Brytania, znów Austria, Dania, Belgia i Francja, a nawet Japonia. Ale do USA nie miałem jakoś okazji trafić, aż do końca listopada 1959 r., kiedy to w drodze powrotnej z Tokio, lecąc nad Biegunem Północnym, zawadziłem o USA, a ściślej o Anchorage na Alasce. Mimo tranzytowego lotu musiałem mieć do tego celu amerykańską wizę, którą w drodze wyjątku wydano mi w ambasadzie USA w Tokio (za wstawiennictwem znanych mi dyplomatów amerykańskich, obecnych na XV sesji GATT w Tokio). Ludziom zza „żelaznej kurtyny” wiz na tranzyt przez

Anchorage normalnie nie wydawano, jako że były tam obiekty wojskowe.

W Anchorage była noc polarna, niczego wojskowego ani nawet cywilnego przy podchodzeniu do lądowania i w poczekalni nie widziałem, ale za to przez ponad dwie godziny *byłem* fizycznie w USA, pierwszy raz w życiu!

I nie ostatni, jak się wkrótce okazało. W kwietniu 1962 r. przeniesiono mnie bowiem na naczelnika Wydziału Północnoamerykańskiego, w związku z przygotowaniem wyjazdu na placówkę do USA. Od tego momentu miałem już kontakt niemal codzienny z USA, a ściślej z ich ambasadą w Warszawie, gdzie bywałem często na przyjęciach, a nawet na obiadach u ambasadora Jacoba Beama. W maju zaś, w związku z Targami Poznańskimi, na których prezydenta USA miał reprezentować Jack Behrman, wiceminister w Departamencie Handlu, miałem okazję poznać z bliska wyższego urzędnika amerykańskiego, jeżdżąc z nim po kraju, od Nowej Huty i Zakładów H. Cegielskiego poczynając, a kończąc na zakładach konserw mięsnych w poznańskim, skąd eksportowaliśmy do USA szynki puszkowane. Ponieważ gość był profesorem ekonomii, więc narozmawialiśmy się na różne tematy do syta. Wszystkim co widział był zachwycony, choć nieco kręcił nosem na zacofanie zakładów mięsnych. Z drugiej strony nie mógł się nadziwić sprawną organizacją swojej wizyty, podkreślając to w rozmowach w Warszawie na wysokich szczeblach i wskazując palcem na mnie dodawał, że USA nie lepiej spisałyby się pod tym względem.

Nadszedł wreszcie dzień 30 października 1962 r. i wraz z Niunią i Ewą poleciliśmy najpierw do Paryża, a stamtąd już w dniu następnym odlecieliśmy do Nowego Jorku, gdzie po przesiadce w inny samolot dotarliśmy wreszcie do Waszyngtonu, w którym w charakterze Attaché Handlowego w Biurze Radcy Ekonomicznego przy Ambasadzie PRL miałem pozostać przez co najmniej cztery lata.

Gorszego momentu (choć nie ja go wybrałem) przyjazdu do USA chyba nie mogło być.

Otóż, 22 października 1962 r., rozpoczął się kryzys kubański, który o włos mógł skończyć się III wojną światową. Ale wtedy, przed prawie czterdziestoma trzema laty, ledwie coś niecoś o nim słyszałem, podobnie jak olbrzymia większość moich współrodaków i obywateli

innych krajów „socjalistycznej wspólnoty”. Jak do niego doszło i jak się zakończył nie będę już wspominał, ale dziś już wiem z opublikowanych w Moskwie materiałów po rozpadzie ZSRR, że wschodnia i południowa część USA mogła na wypadek wojny zostać *zniszczona* tymi radzieckimi rakietami z głowicami nuklearnymi, które na Kubie osiągnęły już stan operacyjny. A na dodatek ich uderzenie mogło być jeszcze jakoby „poprawione” przez samoloty z bombami nuklearnymi na pokładzie, startujące z lotnisk kubańskich, a wreszcie uderzeniem rakiet międzykontynentalnych z głębi ZSRR!

Szykując się do odlotu do USA z Warszawy, o grozie sytuacji nie miałem najmniejszego pojęcia! Na głowie miałem bowiem pakowanie się do podróży i wysyłkę części naszego dobytku morzem, a nade wszystko przygotowywałem się do obrony pracy doktorskiej 24 października. Cóż więc innego mogło mnie jeszcze obchodzić! Tym bardziej, że nie tak jak w sierpniu 1961 r., kiedy to nagle wzniesienie muru berlińskiego spowodowało duży wzrost napięcia na linii Wschód-Zachód, teraz nic takiego nie miało miejsca i o wiszącej w powietrzu III wojnie światowej *nikt* w Warszawie nie mówił. Prawda, coś szeptano o jakimś napięciu „na tle Kuby”, ale o co konkretnie chodziło nie bardzo było wiadomo. W ambasadzie amerykańskiej, kiedy o to napięcie zapytałem, uspokojono mnie, że to nic poważnego i w podobnym duchu wypowiadali się też oficerowie z wywiadu wojskowego, kiedy ich pytałem o „sprawę kubańską”.

A tak dobrze nie było, co zresztą usłyszałem z ust samego prezydenta Kennedy’ego. Ledwie bowiem weszliśmy do naszego pokoju w hotelu *Twenty-One Hundred* na Connecticut Avenue w Waszyngtonie i po uruchomieniu telewizora, na ekranie zobaczyłem nagle prezydenta, który informował naród, że oto osiągnął on porozumienie z „przewodniczącym” Chruszczowem i że w efekcie tego minęło bardzo groźne w skutkach napięcie międzynarodowe.

O czym on mówił? Tak zaraz odpowiedzi na to pytanie nie znalazłem, a i dziś nie jestem pewien, czy ją znam do końca. Ale jakkolwiek nie było, faktem jest, że swój pobyt w USA rozpocząłem w historycznym momencie!

Do USA, co muszę podkreślić, jechałem z wielką niechęcią. Wynikało to stąd, co było wtedy powszechnie praktykowane, nie tylko przez PRL i inne kraje tzw. wspólnoty

socjalistycznej, ale i Zachód, że służba dyplomatyczna nosiła podwójny charakter (moje stanowisko było równe stopniem I Sekretarzowi Ambasady, czyli było *par excellence* dyplomatyczne i taką też w USA miałem akredytację). „Podwójność” polegała zaś na tym, że obok swoich normalnych funkcji, służba dyplomatyczna była jednocześnie *zakamuflowanym* wywiadem, zarówno niewojskowym jak i wojskowym. A ponieważ od września 1956 r. byłem oficerem kadrowym Z-II, Zarządu II Sztabu Generalnego, czyli wywiadu wojskowego, więc do USA jechałem z podwójną misją. Z formalnego punktu widzenia, co wynikało z otrzymanego rozkazu bojowego (później ową praktykę zarzucono), jechałem do USA nie z jakąś misją, ale po prostu na wojnę!

Na wojnę z USA? Wrogości do tego kraju nie czułem żadnej, a przeciwnie - miałem dla niego wiele sympatii. Wiedziałem doskonale o jego gospodarczej pomocy dla Polski, mimo że była ona przecież, jako PRL, w przeciwnym obozie. Ale, jak to sformułował Sekretarz Stanu John Foster Dulles, Polska „nie była nieprzyjaznym wobec USA krajem”. Nie była im przyjaznym, ale i nie nieprzyjaznym. Majstersztyk dyplomatyczny!

USA traktowały ponadto Polskę *najlepiej* wśród wszystkich krajów tzw. wspólnoty socjalistycznej, wynik tzw. październikowych przemian w 1956 r., które, choć z upływem czasu już poważnie rozmyte, ciągle jeszcze robiły pozytywne wrażenie w porównaniu do innych „bratnich krajów”. Na moim pozytywnym stosunku do USA zaważyło jeszcze coś innego. Na szczęście nie było z ich strony nowych mów w stylu Byrnesa, aczkolwiek niezupełnie. W czerwcu 1962 r. bowiem, ku mojemu zaskoczeniu, jeden z amerykańskich dyplomatów w Warszawie, którego nazwiska nie wymieniam, gdyż było ono potem w Polsce znane i z którym miałem po uzyskaniu azylu politycznego w USA serdeczne stosunki, wypowiedział się właśnie w „duchu Byrnesa”. Ubodło mnie to tym bardziej, gdyż jego wypowiedź słyszeli inni dyplomaci zachodni! Stąd też, gdy tylko przybyłem do Waszyngtonu, to zaraz zacząłem poszukiwać w Bibliotece Kongresu, najlepiej w świecie zaopatrzonej w różne materiały źródłowe, czy czegoś wśród publikacji jawnych nie znajdę odnośnie stanowiska USA wobec polskich Ziemi Odzyskanych. Nic nie znalazłem, a raczej znalazłem, że USA, oficjalnie tego nie głosząc, granice

powojennej Polski uznawały za *ostateczne* i tak nawet półoficjalnie mówiły to Bonn.

Uspokoilem się więc i na USA zacząłem patrzeć już teraz przyjaźnie i to pomimo faktu, że FBI, podejrzewając zapewne moją podwójną rolę, nie kryło przede mną inwigilacji mojej osoby. Ale ponieważ czynione to było w sposób kulturalny, to nie tylko mi to nie przeszkadzało, ale nawet pomagało! Płk. Henryk Ładoń, Attaché Wojskowy PRL w USA, sam osobiście to nawet stwierdził, co dawało mi pretekst do zachowywania dużej ostrożności i tym samym zwalniało mnie od rozwijania działalności, której Z-II ode mnie oczekiwał.¹

Niezależnie jednak od tej niejawnej strony mojej działalności w USA, była też jawna, główne i bardzo absorbujące zajęcie, ale jednocześnie pozwalające mi na bezpośrednie poznawanie kraju i jego ludzi. Wszystko bowiem co o USA dotąd wiedziałem, okazywało się daleko nie wystarczające. Wiedzę o USA musiałem zatem zdobywać każdego dnia i w różnych okolicznościach, zarówno tych oficjalnych, jak i czysto osobistych. Żeby poznać tak wielki i niezwykle złożony kraj jak USA, potrzeba wielu lat i licznych oraz wszechstronnych kontaktów z ludźmi i wszelkiego rodzaju instytucjami. Do tego nie wystarczały tylko moje kontakty służbowe z Amerykanami, ale konieczne też były różne inne. Tak na przykład, Ewa poszła do amerykańskiej szkoły, swojej pierwszej szkoły w życiu, co automatycznie dało mi jakie takie

¹ Co się tyczy inwigilacji FBI, to zdobyłem się na krok, który mógł mieć dla mnie tragiczne konsekwencje. Jeden bowiem z moich „inwigilatorów”, czyniący zawsze różne przyjazne gesty, na początku sierpnia 1963 r., wysiadł z samochodu i podszedł do mnie na ulicy, wszczynając ze mną rozmowę, na którą, wbrew instrukcjom, przystałem. Zaproponował mi „pożegnalny obiad” w dogodnym dla mnie dniu we francuskiej restauracji *Napoleon*, w pobliżu Biura Radcy Ekonomicznego (wtedy jeszcze na Connecticut Ave.). Wiedział, jak okazało się, że wkrótce wyjeżdżam do Genewy na parę miesięcy. Zaproszenie przyjąłem i do proponowanego mi spotkania doszło. Przedtem jednak zreferowałem cały incydent płk. Eugeniuszowi Wysokińskiemu, następcy płk. Ładonia. Uznał, że powinienem pójść na obiad, ale mówiąc to trząsał się z wrażenia... Na obiad poszedłem, mój gospodarz przedstawił mi się jako Mr. Slaughter (!) (po polsku... p. Rzeź), w czasie II wojny światowej pilot myśliwski na Dalekim Wschodzie, a obecnie – „no, wiadomo”. Stwierdził, że muszę chyba być kimś „ważnym”, skoro przerzucany jestem do Genewy. Wiedział też, że po drodze będę w Warszawie i dlatego zapytał, czy nie mógłbym wysłać mu z niej widokówki. Przyrzekłem, że to uczynię, a przy okazji zapewniłem go, że jeśli powrócę do USA, to niech będzie pewny, że *nigdy* nie wyrządzą im żadnej szkody, gdyż nie uważam ich za wroga Polski. O wszystkim następnie zameldowałem, a będąc w Warszawie Z-II dał mi nawet widokówkę z Warszawy, na której do „Mr. Slaughtera” skreśliłem kilka słów.

Po powrocie do Waszyngtonu, nigdy już nie zobaczyłem go. Ale kiedy przybyłem do stolicy USA, jako azylant polityczny i m.in. FBI prowadziło ze mną rozmowy, to z jednej z teczek wyjęto widokówkę z Warszawy, którą przed laty wysłałem „Mr. Slaughterowi”. Zapytałem więc, czy nie mógłbym go spotkać. I po paru dniach „Mr. Slaughter” rzucił się na mnie z uściskami w restauracji! Dał mi też zaraz wizytówkę z jego prawdziwym nazwiskiem, George J. Lex. Zatrudniony był w firmie hipotecznej, ale wkrótce po naszym spotkaniu zmarł na raka. Wdowie, p. Lex, którą spotkałem na jednej z konferencji na Florydzie, złożyłem kondolencje, a przemawiając do zebranych, ciepło o Nim wspominałem. Mógł przecież spowodować jakąś prowokację i musiałbym opuścić USA z hukiem, a wtedy kto wie jak dalek potoczyłoby się moje życie.

pojęcie o oświacie powszechnej w USA. Mieliśmy też z Niunią szerokie stosunki towarzyskie, zarówno w gronie placówkowym, dyplomatycznym, jak też amerykańskim. Wiedzę swoją o USA czerpałem też nawet z robienia zakupów z Niunią, chodzenia do kina, z oglądania telewizji, czytania gazet, czy choćby spędzania wiosną weekendów nad Zatoką Chesapeake, a latem nad Atlantykiem, ze spaniem w namiocie w lesie, specjalnie przystosowanym do tego celu.

Niezwykłą dla mnie okazją poznawania USA, niezależnie od licznych rozmów z przedstawicielami Administracji i biznesu, było nawiązywanie kontaktów z różnymi nie rządowymi organizacjami jak NAM (National Association of Manufacturers), AMA (American Management Association), gdzie występowałem jako jeden z głównych mówców na jej forum (z echem w prasie, raz czołowej strony w *The New York Times* nie wyłączając). Uczestniczyłem też w dorocznych konferencjach AES (American Economic Society), jak i stanowych imprezach Izb Handlowych, czasem występując na nich jako jeden z oficjalnych mówców (jak to było w czerwcu 1963 r., w Chicago). Wszystkie tego rodzaju imprezy dawały mi okazję rozmów z różnymi ciekawymi ludźmi. Miałem też liczne kontakty z prasą, a co może było najbardziej interesujące, z wyższymi uczelniami. Uniwersytety w różnych stanach zapraszały bowiem przedstawicielei ambasad, żeby im coś opowiedzieli o swoich krajach.² Kontakty z amerykańskimi profesorami i studentami, a były one liczne, gdyż podróżowałem po wielu stanach, dawały mi możliwość poznawania USA od strony ich intelektualnej elity. Na University of Virginia w Charlottesville, na przykład, poznałem znanego wtedy w USA sowietologa prof. Warrena G. Nuttera, z którym, jak też z prof. Paulem Nehrtem, godzinami namiętnie dyskutowaliśmy. Zgadaliśmy się, że chruszczowowski pomysł budowy komunizmu w ZSRR i prześcignięcie USA w produkcji, był nierealny. Ale różniliśmy się w poglądach na temat dalszych losów ZSRR, nie przewidując jednakże, że po latach ulegnie on rozpadowi, albo raczej „rozpadowi”.

Ważną rolę w poznawaniu USA odgrywała niewątpliwie turystyka. I tak, całą naszą

² Na jedno z takich moich wystąpień, w Columbia University w Nowym Jorku, przyszedł wykładający tam prof. Zbigniew Brzeziński, z którym poznaliśmy się w Warszawie w maju 1962 r. z okazji polsko-amerykańskiego okrągłego stołu.

trójką udaliśmy się na dwa tygodnie na Florydę, ze zwiedzaniem Miami włącznie. Po drodze widzieliśmy kawał amerykańskiego Południa, wtedy jeszcze rasowo niezupełnie zintegrowanego. Zwiedziliśmy też Światową Wystawę w Nowym Jorku i miasto, choć ja sam bywałem w nim niemal co tydzień.

Okazją do wyrobienia sobie poglądu o USA, było wreszcie zabranie się przeze mnie do zbierania materiału na książkę o tym kraju. Celu tego dopiąłem i po powrocie do kraju w lipcu 1966 r., najpierw w ograniczonym nakładzie, a potem staraniem Państwowego Wydawnictwa Ekonomicznego, w maju 1969 r. opublikowałem 320-stronicową książkę pt. „Ekspansja kapitału USA”, poświęconą głównie amerykańskim lokatom bezpośrednim i częściowo portfelowym w świecie (książka była moją pracą habilitacyjną i w styczniu 1970 r. otrzymałem tytuł doktora habilitowanego nauk ekonomicznych).

Przy okazji pracy nad książką, pogłębiałem swoją wiedzę o historii USA, problemach politycznych, a nawet wojskowych, które od II wojny światowej wyszły na pierwszy plan, po tym jak kryzys kubański dramatycznie przypominał o grożącej ludzkości w każdej chwili katastrofie. Fakt, że nie doszło wtedy do III wojny światowej, choć USA twierdziły, iż w tym czasie miały nad ZSRR 15-krotną przewagę w broni nuklearnej, dawał mi wiele do myślenia. Tym bardziej, że od umieszczenia 4 października 1957 r. Sputnika, widoma oznaka olbrzymiego przełomu w międzykontynentalnych raketach, ZSRR czynił wrażenie wygrywania z USA wyścigu na odcinku tzw. broni strategicznej rażącej cele odległe o ponad 5,5 tys. kilometrów, co było bardzo *nieobiecującą* perspektywą dla Zachodu w jego wyścigu zbrojeń ze Wschodem.

Innym problemem, który zaprzętał moją uwagę, było coraz głębsze angażowanie się USA w wojnę wietnamską. Przyznaję, choć tego zaangażowania się USA w wojnę nie popierałem, iż początkowo myślałem, że skoro supermocarstwo zaczęło wojować ze względnie słabym przeciwnikiem, to musiało obowiązkowo wygrać. Tak zresztą przepowiadali liczni generałowie w telewizji i tak na to nawet zanosilo się, zwłaszcza że o pomocy ZSRR i Chin dla Wietnamu Północnego długo nie było słyhać. Dużo za to słyzało się o kłótniach chińsko-radzieckich, osłabiających zdolność bojową Wietnamu Północnego i Wietkongu. Dopiero pod koniec mojego

pobytu w USA, kiedy w maju 1966 r. zobaczyłem jak defiladę wojskową na Fifth Avenue w Nowym Jorku tłumy młodzieży obrzucały czym się tylko dało, zacząłem mieć wątpliwości, co do zwycięstwa USA w wojnie wietnamskiej.

Co gorsza, USA, od tragicznej śmierci prezydenta Kennedy'ego w listopadzie 1963 r., robiły coraz smutniejsze wrażenie. Demokratyczny prezydent Johnson, mimo druzgocącego pokonania w 1964 r. republikańskiego rywala Barry Goldwatera, wydawał się być jakby zagubiony w sterowaniu krajem, który z wolna zaczął dryfować. Wielkie plany demokratów zbudowania Grand Society - Wielkiego Społeczeństwa - ze względu na przeciągającą się wojnę wietnamską i tym samym rosnące napięcia w budżecie, zaczęły iść w zapomnienie, choć udało im się jeszcze w 1965 r. przepchnąć przez Kongres system powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego, Medicare, obejmującego ludzi w wieku 65 lat i powyżej. Inne jednak plany natury socjalnej odsunięto w nieokreśloną przyszłość. Dolar, główna obok złota podstawa międzynarodowego systemu walutowo-finansowego, zaczął się chwiać ze względu na swoje przewartościowanie, wskutek czego deficyt w bilansie handlowym USA zaczął zagrażać stabilności gospodarczej kraju. Wojna zaczęła też chwiać budżetem, a na dodatek na kraj zaczęły spadać inne i niepokojące w swoich skutkach niespodzianki. Młodzież mianowicie, przyszłość i nadzieja narodu, zaczęła przechodzić niebezpieczną transformację obyczajową. Ruszyli też Afroamerykanie w walce o swoje prawa obywatelskie. I kto wie jak daleko by to zaszło, gdyby nie neutralizująca nastroje postawa pastora Martina Luthera Kinga, głoszącego pokojowe formy protestu.

Na dobitkę tego wszystkiego, dochodziły jeszcze inne dziwolągi amerykańskiego życia politycznego. Ze zdumieniem obserwowałem na przykład, niemal każdego weekendu, pikiety i inne ceremonie amerykańskich nazistów w mundurach SA i to przed Białym Domem! Wrzeszczeli „Heil Hitler!” i paradowali z flagami ze swastyką. Nikt im w tym nie przeszkadzał, ani nikogo to nie oburzało. Inną odmianą nazizmu, w swojej skali nawet szerszą, był wzrost działalności John Birch Society (raz nawet, w Hartford w stanie Connecticut, ściałem się podobno zwycięsko, w telewizyjnej debacie z jednym z czołowych aktywistów tego ruchu).

W nawiązaniu do tego zjawiska, podzielę się jednym z moich wspomnień.

W Waszyngtonie, w ramach wymiany poglądów na tematy gospodarczo-handlowe, przedstawiciele „bratnich krajów” spotykali się na zmianę w poszczególnych ambasadach, gdzie dochodziło czasem do interesujących dyskusji, zarówno przy stole, jak i na boku. Uwagę moją na tych spotkaniach przykuwał wtedy Wasiliew, bardzo dobrze zorientowany co piszczało w amerykańskiej trawie radziecki przedstawiciel. Raz więc, na boku, zapytałem go co myślał o hitlerowcach i John Birch Society w życiu politycznym USA.

- *Nic! Oni nie liczą się. USA rządzą Żydzi i oni ich wykończą!*³

Reakcja jego zaskoczyła mnie. O roli Żydów w USA wiedziałem już wiele, ale nie odnosiłem wrażenia, że byli oni wtedy siłą dominującą w USA.

Na temat USA miałem bardzo mieszane poglądy. Zaczęły się one właściwie od pierwszego dnia naszego pobytu w Waszyngtonie. W dzień 1 listopada, Wszystkich Świętych, zwany w Polsce Dniem Zmarłych, Ambasada była zamknięta. Całą więc naszą trójką wyszliśmy z hotelu pospacerować po mieście i zobaczyć, jak wygląda stolica USA. O Waszyngtonie nasłuchiwałem się już przedtem różnych okropności od kolegów latami w nim przebywających, ale sam chciałem się przekonać na własne oczy, jak on wygląda. Samochody były znacznie większe i więcej ich było niż w Europie Zachodniej, ale już wszystko inne było daleko w tyle. Wystawy sklepowe nie umywały się do tych w Genewie, Paryżu czy Wiedniu, ulice były zaśmiecone, żadnych przytulnych kafejek i restauracji nie było widać. Z czasem, nasze wrażenia niewiele zmieniły się na lepsze. Wszystko wydawało nam się dalekie od tego, co można było zobaczyć w Zachodniej Europie. W sklepach spożywczych, głównie sklepy sieciowe z których dwa, a mianowicie *Giant* i *Safeway* mieliśmy w naszej okolicy, po tym jak wyprowadziliśmy się z hotelu i zamieszkali w północno-zachodnim kwadrancie miasta, najpierw przy ul. Harvard, a potem na Summit Place, położonych w pobliżu Ogrodu Zoologicznego, było co prawda pełno towarów, ale często nie w naszym guście. Normalnego pieczywa nie można było w nich kupić (nie tak jak dziś,

³ Jego dawny szef, ambasador Anatolij Dobrynin, którego wielokrotnie widywałem w czasie mojego pobytu w Waszyngtonie, wyraził w wiele lat potem *identyczny* pogląd w swoich pamiętnikach *In Confidence*, wydanych w 1995 r. w USA. Widocznie więc pogląd Wasiliewa w Ambasadzie ZSRR nie był już wtedy izolowany.

gdzie jest go pełno), tak jak serów twardych, gdyż te w sprzedaży miały smak mydła. Wino było wtedy rzadkością, a o jakichś delikatesach, od których półki ugiwały się w Genewie, nie było mowy. Restauracje, poza paroma z francuską kuchnią, były daleko w tyle nawet w porównaniu do warszawskich, chyba że ktoś zamawiał wielkiego steka z pieczonym kartoflem, homara lub smażone krewetki, słynne *shrimp*, nie mówiąc już o hamburgerach w wielkiej bułce z plasterkami pomidora i liściem sałaty. Wybór dań był ubogi, podobnie jak wystrój wnętrza restauracji, chyba że francuskich.

W sklepach z ubraniami i butami, Niuni trudno było coś znaleźć odpowiadającego jej gustom, zwłaszcza po tym co widziała w Genewie i Paryżu. Ba, patrząc na buty tęskniła za tymi... warszawskimi!

Z drugiej strony, USA urzekły nas swoim krajobrazem, świetnymi drogami i wieloma bardzo gustownie zbudowanymi domkami jednorodzinnymi.

Odnosnie ludzi, to w swojej masie, czynili wrażenie przyjaznych i uczynnych, ale też i nie wolnych od różnych obyczajowych dziwolągów. Na 42 Ulicy w Nowym Jorku mogła królować pornografia, ale na plaży nadmorskiej panowała średniowieczna pruderia! Raz nawet nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłem jak policjant prowadził do nas płaczącą Ewę, wówczas 7-letnią, z pretensjami, że nie miała ...biustonosza!

- *Ależ ona nie ma jeszcze piersi!* - wykrzyknąłem oburzony.

- *Ale będzie mieć!* - wykrzyknął niemniej oburzony policjant.

No i odtąd Ewa musiała nosić dwuczęściowy kostium kąpielowy (co zresztą jej bardzo odpowiadało)! Ciągle jednak amerykańskiemu dziwactwu w niektórych dziedzinach życia, które w tej czy innej formie ciągnie się do dziś, nie mogliśmy się i nadal nie możemy nadziwić.

Z powyższego nie należy jednak wyciągać wniosku, że pobyt nasz w USA nie był miły i pod każdym względem pouczający.

Przede wszystkim, poznawanie kraju, który przez cały XX wiek, jak i obecnie jest najbardziej rozwiniętym w świecie i wywierającym przemożny wpływ na jego dalszy rozwój, było samo w sobie wielkim przywilejem. Ponadto wiązało się to z licznymi osobistymi

przyjemnościami i wielostronnymi korzyściami, materialnych nie wyłączając. Tak na przykład, zaczynając od tych ostatnich, wkrótce po przyjeździe do Waszyngtonu, mimo że mogłem korzystać ze służbowego samochodu bez kierowcy, to jednak kupiliśmy nowiutkiego Volkswagena garbusa, co było przełomem w naszym życiu, gdyż w kraju nie było nas stać na żaden pojazd. Dla Niuni, która wkrótce zdobyła prawo jazdy, własny samochód był szczególnie przyjemnością i pomocą w codziennym życiu, podobnie jak dla całej naszej trójki, zwłaszcza dla spędzania weekendów.

Prowadziliśmy też, w odróżnieniu od większości placówkowiczów, którzy na wszystko skąpili grosza, oszczędzając na czasy po powrocie do kraju, dość wystawny tryb życia. Stąd pobyt nasz w USA był o wiele przyjemniejszy niż mógł nim być, gdybyśmy mieli do niego tylko „centusiowaty” stosunek. Inna rzecz, że wracając do kraju wieźliśmy ze sobą tylko niecałe 360 dolarów, nie tak jak inni, którzy mając nawet mniejszą ode mnie pensję, wieźli po kilka tysięcy. Prawda, po garbusach, kupiliśmy na parę miesięcy przed wyjazdem do kraju nowego Plymouth-Chrysler Valianta 200, który czynił potem furorę w Warszawie, ale inni też wracali do kraju z podobnymi samochodami.

W każdym razie, gdybym wtedy miał do wyboru dalsze pozostawanie w USA, albo przeniesienie się na jakąś placówkę zachodnioeuropejską, to bez wahania wybrałbym to drugie. W pewnym momencie myślałem nawet, że tak się właśnie stanie. We wrześniu 1963 r. bowiem, w związku z przygotowaniem do I sesji UNCTAD w Genewie, wspomianej już przeze mnie w innym miejscu organizacji, przerzucono mnie do niej na prawie cztery miesiące, jako jednego z dwóch przedstawicieli krajów RWPG. Uważałem zatem, że na tym skończy się mój pobyt w USA, gdyż były wstępne propozycje, żebym wszedł do tworzonego Sekretariatu UNCTAD, ale ponieważ nie miało stać się to natychmiast, więc w styczniu 1964 r. powróciłem do USA (Niunia z Ewą, które dołączyły do mnie w Genewie, pojechały potem na Święta do kraju i dopiero po paru tygodniach po moim powrocie do Waszyngtonu przybiły polskim frachtowcem, Heweliuszem, do nowojorskiego portu).

Pobyt mój w USA po powrocie z Genewy, trwał już niecałe 2,5 roku, choć mógł trwać o

rok lub nawet dwa dłużej. Trwał jednakże w sumie tylko trzy lata i osiem miesięcy.

Powody tego były różne, ale głównym był dość beznadziejny charakter miejsca mojej pracy. Biuro Rady Ekonomicznej, na czele ze Zbigniewem Bidzińskim, którego znałem już przedtem jako dyrektora departamentu finansów w MHZ i półetatowego wykładowcę z rozliczeń międzynarodowych na SGPiS, mimo posiadania tylko stopnia magistra, stało się z czasem, przynajmniej w moim przekonaniu, absolutnie zbędne.

BRE, aczkolwiek integralna część Ambasady, istniało oddzielnie od niej (położonej wtedy jak i dziś przy Szesnastej Ulicy w kwadrancie północo-zachodnim Waszyngtonu). Siedziba jego znajdowała się najpierw przy Connecticut Avenue, a następnie na Tracy Place (w obu przypadkach w tej samej co Ambasada dzielnicy). Początkowo, BRE miało mieć liczniejszy personel niż Ambasada. Do tego nie tylko nigdy nie doszło, ale jeszcze zaczęło tracić swój dawny charakter. U podstaw stworzenia BRE (było to wtedy *jedyn*e tego rodzaju Biuro wśród placówek PRL w świecie) leżały bardzo specyficzne powody. Otóż po Październiku 1956 r., USA rozpoczęły różne programy pomocowe dla PRL, głównie w postaci udzielania długoterminowych kredytów w ramach PL-480, tzw. Tytułu I, które można było wykorzystywać na zakup tzw. nadwyżek rolnych. Kredyty były długoterminowe (30-letnie i z 10-letnią karencją), nieoprocentowane i praktycznie bezzwrotne, jako że zadłużenie dolarowe było z czasem zamieniane na złotówkowe, które można było „odpożyczyć” na cele rozwoju polskiego rolnictwa. Kredyty były więc niezwykle cenną pomocą dla Polski, a ponieważ towarzyszyły im jeszcze różne mniejsze kredyty i inne koncesje ze strony USA, jak rozluźnienie kontroli eksportowej technologii i maszyn, nie mówiąc już o wspomnianym w innym miejscu przyrzeczeniu przywrócenia KNU, więc „amerykańskie eldorado” postanowiono ująć w organizacyjne ramy. I tak, od 1957 r. poczynając, zaczęło się rodzić BRE. Na jego czele stanął dobrze mi znany jeszcze z czasów SGSZ/SGPiS prof. Tadeusz Łychowski, niezwykle ciekawa postać (pod jego kierownictwem naukowym pisałem pracę magisterską). Nadano mu tytuł Ministra Pełnomocnego, obarczając go zarówno prowadzeniem negocjacji z Departamentem Stanu w sprawie wspomnianych kredytów, jak też nadzorem nad całością działalności gospodarczo-ekonomicznej PRL w USA. BRE,

niezależnie od swoich zadań, doglądało więc funkcjonowania nowoutworzonej Misji Zakupów, realizującej kredyty PL-480 (w ich ramach zakupywano głównie zboża, bawełnę i tytoń), jak i nowotworzonych biur Radcy Handlowego (początkowo w Waszyngtonie, potem w Nowym Jorku) oraz Konsula Handlowego w Chicago. W pomieszczeniach BRE działały jeszcze dwie niezależne jednostki: Radca Finansowy, podległy ministrowi finansów i Attaché Rolny, podległy wicepremierowi Stefanowi Ignarowi, mimo opłacania go przez MHZ.

W momencie mojego przybycia do BRE, na nowoutworzone stanowisko Attaché Handlowego, istniejący dotąd stan rzeczy uległ, niestety, zmianie na gorsze.

Przede wszystkim, ze względu na złą krew, jaką czyniły stosunki polsko-kubańskie, Kongres, przy okazji uchwalania w 1962 r. Trade Expansion Act, dającej Administracji możliwość rozpoczęcia na forum GATT negocjacji w ramach tzw. Rundy Kennedy'ego, wycofał Polsce KNU, czyli Klauzulę Największego Uprzywilejowania. Prezydent Kennedy ustawę podpisał, ale nie wydał odpowiedniego zarządzenia wykonawczego i KNU nie została na razie odebrana PRL, ale mogło to zdarzyć się lada dzień. Departament Stanu zapewniał co prawda, że sprawę KNU jakoś odkręci, ale nie było to takie pewne.⁵ Ponadto, Departament Stanu poinformował PRL, że kredyty z Tytułu I dobiegają końca i odtąd mogą być tylko kredyty z Tytułu IV, dolarowe, oprocentowane, zwrotne i na znacznie krótsze terminy.

Kiedy więc przybyłem do BRE, prof. Łychowski kończył akurat swoją waszyngtońską misję, finalizując jeszcze negocjowany kredyt z Tytułu I. „Eldorado” kończyło się zatem, a negocjacje o kredyty z Tytułu IV wcale nie były pewne (PRL jednakże, po początkowych dąsach, zaczęła z nich korzystać, ale BRE w ich negocjowaniu nie odgrywało już centralnej roli, gdyż kredyty były typu handlowego). Na domiar złego, Bidziński, rozgorączony nienadaniem mu tytułu Ministra Pełnomocnego, był obrażony na cały świat i właściwie nic nie robił. Zresztą, nie bardzo i mógłby, zwłaszcza prowadzić negocjacje czy choćby rozmowy z Amerykanami, ze względu na

⁵ W 1963 r., w projekcie ustawy o pomocy gospodarczej USA dla zagranicy znalazł się jednak zapis, że prezydent może przyznać KNU Polsce i Jugosławii, jeśli leży to „w interesie narodowym USA”. W marcu 1964 r. prezydent Johnson poinformował listem Kongres, że KNU dla Polski i Jugosławii „leży w interesie narodowym USA”. Tym samym KNU została PRL przywrócona aż do stanu wojennego.

bardzo słabą znajomość angielskiego.

BRE stanęło więc na rozstajnych drogach. Kończyła się też działalność Misji Zakupów, jako że jej zadania przejęła Centrala Handlu Zagranicznego Rolimpex. Dotychczasowy Radca Handlowy Tadeusz Grzybowski zbierał się z kolei do powrotu do kraju i nie było wiadomo kto go zastąpi (zastąpił go nowy szef likwidowanej Misji Zakupów, Tadeusz Kowalkowski, który natychmiast przeniósł się do Nowego Jorku, wychodząc spod bezpośredniej kontroli BRE, jeśli nie liczyć moich częstych odwiedzin w BRH, które były mu w niesmak, ale je tolerował).

Mimo wszystko, bezrobocie mi na razie nie groziło, ani podległemu mi personelowi, okresowo liczącemu cztery osoby. Pomijając moje liczne interwencje w Administracji, głównie w Departamencie Handlu, który często czynił poważne trudności przy wydawaniu licencji eksportowych na niektóre towary objęte embargo⁶, moje liczne kontakty ze światem biznesu (w tym z tak renomowanymi firmami jak IBM, Control Data Corporation, Westinghouse, czy giganty zbożowe Continental, Cargill i Dreyfus) były dość absorbujące. Wielki biznes interesował się bowiem rynkiem PRL i trzeba było udzielać mu różnych informacji na ten temat. Miałem też liczne kontakty z prasą i różnymi wspomnianymi już instytucjami. No i trafiały mi się również sporadycznie inne zajęcia.

O jednym z nich warto wspomnieć.

Stosunki gospodarcze PRL-USA, pod wieloma względami nietypowe w porównaniu do innych krajów zachodnich, na niektórych odcinkach, jak kredytowych, obfitowały jednak w szereg anomalii. USA, mając przeświadczenie, że wyświadczą PRL olbrzymią przysługę, udzielając jej kredytów, oczekiwały tylko wdzięczności z jej strony. Stąd negocjacje o wysokość kredytów z Tytułu I traktowały jako zwykłą formalność. Podawały sumę kredytu, jaką były gotowe udzielić i towarową jego strukturę, podczas gdy prof. Łychowski, mający swoje instrukcje i chcący wykazać

⁶ Jak po latach dowiedziałem się, robiono to nie bez podstaw. Tak na przykład, PRL starała się zakupić licencję w firmie Corning Glass na produkcję włókna szklanego, ale USA długo jej odmawiały. W końcu jednak zgodziły się, ale nabyta technologia trafiła również do ZSRR, który używał jej odtąd do produkcji rakiet. Podobnie było z zakupem przez Ministerstwo Rolnictwa urządzenia przetrzymującego w niskich i stałych temperaturach nasienia buhajów do sztucznej inseminacji krów. USA ociągały się z licencją, ale potem ustąpiły. Technologia części urządzenia, podtrzymującego stałość temperatury, natychmiast trafiła do ZSRR, który wykorzystywał ją do podtrzymywania gotowości bojowej rakiet na paliwie płynnym;

się swoim kunsztem negocjatora, próbował coś wytargować u Amerykanów, ale była to droga do nikąd. Uczestnicząc w ostatnich tego rodzaju negocjacjach, miałem wręcz uczucie proszalnego dziada i wszelkie elokwentne zabiegi prof. Łychowskiego przy stole negocjacyjnym uważałem tym samym za zbędne (on sam był przeciwnego zdania). „Negocjacje” kończyły się zawsze na amerykańskich warunkach, z drobnymi tylko ustępstwami, które pewnie były z góry zaplanowane. Kiedy więc PRL zdecydowała się na korzystanie z kredytów z Tytułu IV, Bidziński, jako tako zorientowany w przedmiocie, z góry zakładał, że z USA nie należy targować się i w ciemno akceptować proponowane przez nie warunki kredytu. Czynił to jednak bez mojej wiedzy i stąd nie bardzo byłem zorientowany w tych sprawach. Udając się jednakże w lipcu 1964 r. do kraju na urlop i przekazując mi czasowo swoje obowiązki, Bidziński dał mi list z Departamentu Stanu, w którym domagał się on polskiej zgody na warunki negocjowanego kredytu z Tytułu IV. Dając mi list dodał, że trzeba go akceptować, gdyż „Amerykanie wiedzą co robią”. W liście chodziło o natychmiastową zgodę PRL na korzystanie co najmniej w połowie z amerykańskich frachtowców przy przewozie zakupionych w USA towarów. Była też w nim wzmianka, że taki jest wymóg ustawy Maritime Administration Act z 1935 r. Zapytałem więc Bidzińskiego, czy czytał ustawę, ale w odpowiedzi usłyszałem, że nie i że bym sobie tym głowy nie zawracał, bo przedstawiciel Polskich Linii Oceanicznych już prowadzi rozmowy z amerykańskimi liniami frachtowymi w tej sprawie.

A sprawa była niebagatelna. Amerykańskie stawki frachtowe były przeciętnie *czterokrotnie* wyższe od norweskich i o ile przy kredytach z Tytułu I można to było jeszcze tolerować i korzystać z flagi USA w wymaganej połowie przewozów, to już przy kredycie z Tytułu IV - tak uważałem - należało się temu przeciwstawić. Tym bardziej, że o ile kredyty z Tytułu I, co było dziwolągiem, nie podlegały w odniesieniu do PRL zakazowi, to kredyty z Tytułu IV podlegały! Banki amerykańskie mogły je udzielać, co prawda, ale dopiero po otrzymaniu gwarancji ich spłaty przez PRL z banków zachodnioeuropejskich (co za odpowiednią opłatą chętnie czyniły).

Dlatego też, ledwie tylko Bidziński zniknął z biura, postanowiłem zająć się sprawą,

zaczynając od telefonu do przedstawiciela PLO w Nowym Jorku, żeby chwilowo wstrzymał rozmowy z amerykańskimi liniami frachtowymi. Sam zaś udałem się do Biblioteki Kongresowej, gdzie skopiowałem Maritime Administration Act, zawarty na niecałej stronie i przeczytawszy go wywnioskowałem, że jest się o co targować z Departamentem Stanu. Swoje myśli rzuciłem na papier, dostarczając go natychmiast go Davidowi Cobbowi, amerykańskiemu prawnikowi, który za opłatą współpracował z BRE. Już w następnym dniu przed południem dostarczył on do Biura swoją opinię, która całkowicie pokrywała się z moją. Zadzwoniłem więc zaraz do Mr. Malina w Departamencie Stanu, że chcę się z nim pilnie widzieć. Za pół godziny byłem już na miejscu, oświadczając mu, że wymóg korzystania z flagi amerykańskiej w przewozie zakupionych przez nas towarów w ramach kredytu z Tytułu IV jest nieuzasadniony. Malin był skonfundowany i zaproponował, żebyśmy natychmiast udali się do radcy prawnego Departamentu Stanu, który nas natychmiast przyjął. Wyłuszczyłem mu moje stanowisko, które uważnie wysłuchał, a przeglądając przedłożone mu papiery, z miejsca uznał, że miałem rację!

A chodziło o niebagatelną sumę, o ponad 1,1 mln ówczesnych dolarów, czyli ok. 5 mln dzisiejszych! Zaraz też powiadomiłem przedstawiciela PLO, żeby wszczął negocjacje z norweskimi liniami frachtowymi.

Finał całej tej afery był jednakże dla mnie nieoczekiwany. Przedstawiciel PLO bowiem, jeszcze w dniu poprzednim, zaalarmował swoje władze, a te z kolei MHZ, że ...opóźniam frachtowanie statków amerykańskich. Zastępujący w tym czasie urlopującego ministra Trąmpczyńskiego wiceminister Janusz Burakiewicz wściekł się na mnie i kazał mnie skreślić z listy odznaczonych Złotym Krzyżem Zasługi z okazji XX-lecia PRL!

Gdy się o tym dowiedziałem, chciałem zaraz powracać do kraju, ale sprzeciwił się temu Z-II. Dodam tylko, że po tym incydencie socjalizm zbladł w moich oczach. W kapitalizmie, za zarobioną sumę, gdybym pracował na własny rachunek, mógłbym egzystować z rodziną do końca życia, a tu jeszcze spotkała mnie kara!

Kara omal nie spotkała mnie jeszcze za co innego. Zabrałem się mianowicie do „przenicowania” zatwierdzonego przez MHZ planu eksportu do USA, który w 1965 r. miał

wynieść 100 mln dol., czyli ponad 3-krotnie więcej niż w 1960 r.! Nie dyskutując na ile plany obrotów z krajami wolnodewizowymi miały sens w socjaliźmie, gdyż strony niczego nie negocjowały i do niczego nie zobowiązywały się, plan ten zaczepił się jednak o wyobraźnię MHZ. Minister handlu zagranicznego, prof. Witold Trąmpczyński, przy pożegnaniu ze mną przed wyjazdem na placówkę, powiedział mi nawet, iż liczy na mnie, że plan... wykonam! Jak to, ja sam? Plan, produkt BRE, opracowany jeszcze pod osobistym kierownictwem prof. Łychowskiego, był w dodatku „księżycowy”! Czego w nim bowiem nie było! W 1965 r. miano nawet eksportować do USA... 10 tys. *Warszaw*, samochodów absolutnie *nie* na amerykański rynek (sprzedano tylko dwie *Warszawy*, jedną kupił polonus, a drugą kolekcjoner samochodów). A podobnych kwiatków było więcej.

Postanowiłem więc wyjść z własną wersją planu. Przystudiowałem nie tylko polskie możliwości eksportowe, zwłaszcza pod kątem ich konkurencyjności na amerykańskim rynku wolnodewizowym, ale nade wszystko strukturę rzeczową amerykańskiego importu towarowego. Import USA, od 1934 r. chroniony szczególnie wysokimi cłami (średnie obciążenie cłami importu ustalono wtedy na 40 procent jego wartości), w wyniku rund w GATT zaczął podlegać coraz mniejszemu obciążeniu celnemu. A ponieważ nadwartościowanie dolara czyniło import konkurencyjnym w stosunku do produkcji krajowej, więc tym bardziej przybierał on na sile. Co najważniejsze, produkcja krajowa, zbyt długo chroniona wysoką barierą celną, wykazywała skostnienie, z czego korzystały dynamicznie rozwijające się firmy zachodnioeuropejskie, japońskie i Hong-Kongu, wdzierając się na rynek amerykański z masą produktów przemysłowych, tańszych i nowocześniejszych. Osiągnięcia tych firm mogły więc być bardzo pouczające dla eksportu polskiego. Skoro im udawało się rozwijać eksport do USA, oznaczało to *popyt* na ich towary. Popyt ten mogły więc, przynajmniej teoretycznie, wypełniać także i towary polskie, jeśli tylko takie były, a jeśli ich nie było, to należało starać się, żeby znalazły się. Jugosławia na przykład, kraj o porównywalnym z Polską poziomie rozwojowym, robiła na tym odcinku duże postępy, a dlaczego Polska miałaby ich nie robić? Tradycyjnie w eksporcie polskim do USA dominowały puszkowane szynki i polędwice, ozdoby choinkowe oraz inne drobne

pozycje. Należało więc pokusić się o wzbogacenie wachlarza eksportowanych towarów, chociażby dlatego, że jak mi mówił Mr. Moeller, gdański Niemiec, który wraz z polskim Żydem Rubinem prowadzili firmę *Atalanta*, rozprowadzającą na rynku USA puszkowane polskie wyroby mięsne, mit polskiej szynki zaczął się kończyć ze względu na rosnącą konkurencję krajową i duńską.

W rezultacie tego, choć do szczegółowych planów wieloletnich w eksporcie byłem sceptycznie ustosunkowany, na podstawie różnych ekstrapolacji ustawiłem, jak się potem okazało, względnie trafnie docelową sumę eksportu PRL do USA. Miała ona wynieść 100 mln dol., ale do osiągnięcia *nie* w 1965, ale dopiero w 1970 r. (jak się potem okazało, nawet i po tej korekcie czasowej, do jej osiągnięcia brakło ok. 7 mln dol.).

W MHZ przyjęto moje propozycje z przekąsem, uważając je za demobilizujące, ale w końcu je przyjęto, gdyż nikt nie był w stanie niczego podważyć, a w słynne 10,000 *Warszaw* też nikt nie wierzył.

Pracując nad nową wersją planu, bywałem często w BRH w Nowym Jorku, zatrudniającym wtedy już ponad dwudziestu pracowników, z reguły przedstawicieli różnych Central Handlu Zagranicznego. Byłem zatem nieźle wprowadzony w bieżące problemy BRH i ambasador Edward Droźniak zaczął nawet lansować propozycję, żebym objął jego kierownictwo. Formalnie byłby to dla mnie awans i pewnie zgodziłbym się na propozycję, gdyby nie wyszło szydło z worka, jako że Z-II raptem zapalił się do tej idei (posądzałem nawet, że to on z nią wyszedł drogą okrężną). Uznał zwyczajnie, że ze względu na ścisłą inwigilację mojej osoby przez FBI w Waszyngtonie, w Nowym Jorku, z jego metrem i zatłoczonymi ulicami, będzie mi łatwiej ją zgubić...

Perspektywa tego rodzaju wcale mi się jednak nie uśmiechała. Pomijając już, że nie miałem najmniejszych chęci zaktywizowania się na odcinku wywiadowczym, gdyż mogło to skończyć się wydaleniem mnie z USA jako *persona non grata*, to dodatkowym elementem zniechęcającym mnie do nowego miejsca pracy było pewne przedłużenie mojego pobytu poza krajem co najmniej o 3 lata. A tego naprawdę nie chciałem. Miałem dość wykonywanej pracy, a

na nową w Nowym Jorku, z licznych względów, nie miałem ochoty. Serio natomiast myślałem o rozpoczęciu pracy naukowej na uczelni, w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, gdzie istniał Wydział Handlu Zagranicznego. Dochodziły mnie też głosy z kraju, że w MHZ ma być stworzony nowy departament, wdrażający nowe metody podniesienia tzw. efektywności eksportowej, a nawet całej gospodarki i że mnie widziano jako jego szefa.

O dalszych moich losach postanowiłem jednak zdecydować w czasie urlopu w kraju latem 1965 r. Licząc się z powrotem na dobre za rok, postanowiliśmy wykorzystać nadarzającą się okazję, której w przyszłości mogło już nie być i po drodze do kraju i z kraju zwiedzić Londyn i Włochy.

Z Londynu wynieśliśmy wiele miłych wrażeń, zwiedzając różne atrakcyjne turystycznie obiekty. Niektórych z nich, mimo mojego tygodniowego pobytu w Londynie sześć lat wcześniej, nie udało mi się zobaczyć i teraz chętnie je oglądałem. Z Londynu wynieśliśmy z Niunią jeszcze jedno niezapomniane wspomnienie. Ewa mówiła już wtedy biegle po angielsku jak każde dziecko amerykańskie. Ale kiedy w hotelu *Beaver* recepcjonista, starszy i miły pan, wiedząc skąd przybywaliśmy, wdał się z nią w konwersację, z typowym dla Anglików jękaniem się i wymawianiem słów jak tylko oni to potrafią, Ewa, zawsze rezolutna i śmiała, z widomą dezaprobatą w głosie, zdziwiona jego „angielskim angielskim”, wielokrotnie zapytała recepcjonistę:

- *Sorry Sir, what did you say?*

Niespeszony pytaniem recepcjonista, mając widocznie doświadczenie z amerykańskimi dziećmi, powtarzał więc wypowiedziane słowa jeszcze raz, Ewa już go rozumiała, ale była najwidoczniej zadziwiona, że po angielsku można było mówić inaczej w Anglii i w USA. Następne konwersacje toczyły się mniej więcej w ten sam sposób, co recepcjoniście wyraźnie sprawiało przyjemność, a Ewa przy tej okazji szybko chwytła „angielski angielski”.

W drodze powrotnej z urlopu w kraju, zatrzymaliśmy się następnie w Rzymie, zwiedzając pomimo sierpniowego upału chyba wszystkie jego historyczne miejsca, włącznie z Willą Hadriana poza miastem. Następnie pomknęliśmy autobusem słynną Autostrada del Sole. Z okna

autobusu widzieliśmy szczyt Monte Cassino z klasztorem i białym cmentarzem wojskowym, na którym spoczywają także Polacy. Dobrnęliśmy do Neapolu, który, z widocznym z dala Wezuwiuszem, urzekł nas swoim jakże odmiennym wyglądem od Rzymu. Z Neapolu, wijącą się i wiszącą nad Zatoką Neapolitańską drogą, pojechaliśmy następnie do Sorrento. Tak pięknych widoków, z modrym Morzem Tyrreńskim z jednej strony i zadrzewionymi zboczami górzystego wybrzeża z drugiej, z jego przepięknymi domkami i małymi miasteczkami, nie widzieliśmy chyba w życiu już nigdy (choć okolice Taorminy na Sycylii, kiedy zwiedzaliśmy ją z Niunią wiosną 2004 r., może mogłyby współzawodniczyć widokami nad Zatoką Neapolitańską).

Sorrento nas urzekło, tak jak można było sobie to wyobrazić z włoskiej piosenki *Wróć do Sorrento*. Stamtąd pojechaliśmy do Pompei, miasta portowego, w starożytnym Rzymie jednego ze wszechstronnie rozwiniętych i zamożnych, które w 79 r. zostało zasypane kilkumetrową warstwą żużlu i popiołu po wybuchu Wezuwiusza. Odkopane, dziś jest unikalnym miejscem w świecie i niezwykle atrakcją turystyczną. Wtedy jednak obowiązywały jeszcze restrykcje i niektóre wnętrza domów miejscowych notabli mogłem oglądać tylko ja sam, bez Niuni i Ewy, jako że zachowane na ścianach malowidła i mozaiki przedstawiały sceny miłosne, które uznano za pornograficzne, a więc kobiety i dzieci nie mogły ich oglądać! Kiedy włoski przewodnik poinformował o tym zakazie naszą grupę, a wiedząc, że byliśmy Polakami szepnął do mnie po ...polsku: *“Panie, tam są same kurwy!”*. Stąd więc wzięły się restrykcje. Ewa, która coś z tego szeptu zasłyszała, ale nie wszystko zrozumiała, poważnie uspokajała Niunię takimi oto słowami:

- *Pewnie tam pani morduje pana i dlatego kobietom nie wolno tego oglądać...*

Wyruszyłem więc z męską częścią naszej anglojęzycznej grupy na zwiedzanie tych „miejsc mordy”, pytając po drodze przewodnika skąd znał polski. Powiedział, że w czasie wojny, jako młody chłopak, zetknął się z polskimi żołnierzami II Korpusu, którzy stacjonowali w jego miejscowości i od nich nauczył się wielu słów polskich. Jak się wkrótce przekonałem, najlepiej opanował jednakże słownictwo dotyczące genitaliów męskich i żeńskich oraz związanych z nimi czynności. Po krótkim wyjaśniającym opisie oglądanych scen po angielsku, przewodnik zaraz przechodził na polski, żywo przy tym gestykulując i bardzo plastycznie oraz dosadnie, nie

mówiąc, że o wiele szerzej, objaśniał mi poszczególne akty! No, moi współrodacy musieli starać się, żeby opanował polskie brukowe słownictwo...

Po powrocie z urlopu do Waszyngtonu dalej działałem normalnie, ale duchowo przygotowywałem się do opuszczenia placówki. I tak, w rzeczywistości, sam odwołałem się do kraju (formalne odwołanie wręczono mi dopiero *po powrocie* do Warszawy). Zapakowałem nasz dobytek do skrzyń, aby drogą morską wysłać go do kraju, wsiedliśmy w trójkę do samochodu i hajda do Montrealu! Tam załadowaliśmy się na *Batorego* i dobiliśmy nim do Gdyni, a stamtąd po prawie całonocnej jeździe *Valiantem*, dobiliśmy do Warszawy. Złożyłem zaraz po przyjeździe wizytę min. Trąpczyńskiemu, który poinformował mnie, że mam natychmiast udać się do Bolesława Jaszczuka, członka Biura Politycznego i Sekretarza Ekonomicznego KC PZPR, wówczas „cara gospodarczego” PRL.

Zgłosiłem się więc do niego, a on już na wstępie uprzedził mnie, że na rozmowę ma tylko piętnaście minut. Chodziło mu o objęcie przeze mnie wspomnianego powyżej departamentu. Podziękowałem mu za zaufanie, zaraz jednak wychodząc z różnymi „ale”. Jaszczuk początkowo zachnął się, a znany był ze swojej wybuchowości, ale szybko uspokoił się, podobno rzadkość u niego. W trakcie naszej rozmowy, która trwała dwie godziny i gdzie mówcą byłem głównie ja, Jaszczuk zaczął wyraźnie mieć wątpliwości odnośnie zamierzonego przedsięwzięcia. W rezultacie tego, proponowany departament nie powstał, choć opłacalnością eksportową zajął się jego pomysłodawca, prof. Witold Trzeciakowski, dyr. Instytutu Koniunktur i Cen.

Co z tego wyszło, już nie warto pisać, a co się tyczy moich dalszych losów, to w końcu wylądowałem na stanowisku Radcy Ministra Trąpczyńskiego, nie tracąc dzięki temu kontaktu z amerykańską problematyką. Pracując też dodatkowo na SGPiS na pół etatu, w charakterze wykładowcy wybranych problemów z dziedziny polskiego handlu zagranicznego, sprawom stosunków gospodarczych PRL-USA poświęcałem sporo czasu, mając je nadal przy tej okazji na oku. Bywałem też na przyjęciach i innych imprezach w ambasadzie USA w Warszawie, a następnie - jak to już wspominałem w innym rozdziale - po przybyciu w grudniu 1969 r. do Genewy w charakterze Stałego Przedstawiciela Polski przy GATT, nawiązałem ściśle stosunki z

dypłomatami amerykańskimi, co na tym forum było mi bardzo pomocne. Nie trwało to jednak zbyt długo, gdyż Genewę musiałem przedwcześnie opuścić, obejmując na okres wrzesień 1971 - grudzień 1972 doradztwo ekonomiczne u Gierka.

Okres ten był dla mnie posuchą, jeśli chodzi o czynne zajmowanie się w tym czy innym stopniu problematyką amerykańską, choć też niezupełnie, gdyż na biurku miałem amerykańską prasę i inne publikacje. Na uczelni nadal wykładałem problemy polskiego handlu zagranicznego, wśród których USA zajmowały poczesne miejsce. Wreszcie, w swojej nowej książce pt. *Handel Zagraniczny: Problemy i Perspektywy*, opublikowanej w 1971 r., też sporo było o USA, podobnie jak w napisanym skrypcie dla studentów. Po rezygnacji z doradztwa u Gierka, w styczniu 1973 r. znów powróciłem do Genewy, tym razem na stanowisko w UNCTAD, o czym już wspominałem w innym rozdziale i mimo że bezpośrednio problematyką amerykańską nie zajmowałem się, to jednakże pośrednio ciągle w niej tkwiłem. Zacząłem bowiem zbierać materiały do trzech nowych książek, w których wiele uwagi zamierzałem poświęcić USA (dwie książki napisałem i obie zostały wydane w latach 1977-1978, jedna pod tytułem *Dylematy rozwoju*, a druga pt. *Kryzys energetyczny - mit czy rzeczywistość?*. Trzeciej, poświęconej kryzysowi walutowemu, dolara głównie, nie zdążyłem już napisać).

Po powrocie do kraju z Genewy w lipcu 1976 r. i objęciu funkcji szefa Zespołu Doradców Ekonomicznych ministra spraw zagranicznych, z problematyką amerykańską znów zacząłem pośrednio stykać się, nie mówiąc już o tym, że dość często odbywałem podróże do USA, co prawda tylko do Nowego Jorku, gdzie uczestniczyłem w różnych ONZ-owskich imprezach (prywatnie zawitałem też do Waszyngtonu w sierpniu 1980 r.).

Nade wszystko jednak, czytałem wiele amerykańskich książek, z reguły o treści ekonomicznej, nie mówiąc już o licznych artykułach o USA w prasie międzynarodowej.

Reasumując, o USA, zanim w grudniu 1981 r. zawitałem do tego kraju wraz z Niunią i Ewą jako azylant polityczny, wiedziałem więc wiele. Jak jednak wkrótce przekonałem się, kiedy przyszło mi żyć wyłącznie pomiędzy Amerykanami, bez oparcia o rodzimy kraj, czy choćby nawet polonijne środowisko, moja wiedza o USA okazała się *daleka* od prawdziwej.

Okres ponad piętnastu lat, jaki mnie dzielił od wyjazdu z USA, mimo baczego śledzenia z oddali ich polityki zewnętrznej i wewnętrznej, stworzył szereg białych plam w mojej wiedzy o tym kraju. I to pomimo, że w międzyczasie, pomiędzy 1977 r. i latem 1980 r. - jak to wspominałem - kilkakrotnie odwiedziłem USA. W czasie ostatniego z tych pobytów, pomiędzy 24 sierpnia - 6 września 1980 r., miałem nawet możliwość oglądać trwającą właśnie prezydencką kampanię wyborczą, z dotychczasowym demokratycznym prezydentem Jimmy Carterem oraz republikaninem Ronaldem Reaganem, zawodowym aktorem i b. gubernatorem w Kalifornii. Było to dla mnie o tyle interesujące, że kampania miała też polski wątek ze względu na wydarzenia Lata 80. Obaj kandydaci, zabiegając o polonijne głosy, licytowali się kto z nich zrobi więcej dla „sprawy polskiej”. Było to wszystko nawet ciekawe, ale nie najważniejsze. USA bowiem, o czym dobrze wiedziałem i co mnie niepokoiło, już od lat przechodziły przez serię historycznych prób, z którymi nie bardzo było wiadomo jak sobie poradzą.

Próbą najcięższą, w którą nieszczęśliwie wplątały się, była *przegrana* wojna wietnamska, albo raczej indochińska, gdyż poza Wietnamem Południowym i Północnym rozlała się ona także na Laos i Kambodżę. Klęska USA była *pierwszą* w ich historii. Wojny koreańskiej, co prawda, też nie wygrały, ale przynajmniej ją zremisowały. Teraz jednak, po wielu latach, w zależności od tego jak liczyć jej początek, od 1954 r. czy 1965 r., USA, po stracie, licząc z zaginionymi, ponad 60 tys. oficerów i żołnierzy, 3,7 tys. samolotów i prawie 5 tys. helikopterów, zostały zmuszone w styczniu 1973 r. zawrzeć z Wietnamem Północnym porozumienie o przerwaniu ognia (wojska swoje zaczęły wycofywać z Półwyspu Indochińskiego, już wcześniej). W niwecz obróciły się więc dawne przechwałki (które słyszałem na własne uszy), że Wietnam Północny będzie strącony do epoki kamiennej. Po zrzuconiu na Półwysep Indochiński 15 mln ton bomb, 8-krotnie więcej niż lotnictwo alianckie zrzuciło ich na Niemcy w czasie II wojny światowej, USA wojnę przegrały. W końcu kwietnia 1975 r. padł Sajgon i Wietnam Południowy został zjednoczony z Północnym, dalekim od epoki kamiennej.

Inna rzecz, że klęska USA byłaby niemożliwa, gdyby nie pomoc ZSRR i Chin dla strony komunistycznej. Radzieckie rakiety przeciwlotnicze zwłaszcza, przyczyniły się do tej klęski.

Skutki amerykańskiej klęski były trudne do przewidzenia. „Syndrom wietnamski” odcisnął się głęboko na społeczeństwie amerykańskim i nie wiadomo było, kiedy zostanie on przewyciężony.⁷ Wojna obfitowała ponadto w różne zjawiska, które dotąd były nieznane w amerykańskiej historii. Prezydent Johnson, początkowo bardzo zapalony do wojny, zaskoczony jej przeciąganiem się, w końcu marca 1968 r. załamał się psychicznie i ogłosił, że nie będzie ubiegał się o następną kadencję. Był to sygnał dla sił antywojennych w kraju, że należy wzmóc wysiłki na rzecz wycofania się z wojny, która momentami, niestety, ze strony amerykańskiej zaczęła przybierać ludobójczy charakter.

Innym problemem była ponad 8-milionowa masa weteranów wojny indochińskiej, zdemoralizowana i nie rzadko dotknięta narkomanią. W celu uniknięcia w przyszłości podobnych problemów, zwłaszcza z poborem i dezercją, wprowadzono zawodową służbę wojskową, a tym samym „armia obywatelska”, jeden z filarów amerykańskiej demokracji, przeszła do historii. Bardzo brzemiennie w skutki wydarzenie.

W czasie kiedy decydowały się losy wojny amerykańsko-indochińskiej, co gorsza, USA w latach 1972-1974 nurzały się w aferze Watergate, w rezultacie czego republikański prezydent Nixon, żeby uniknąć usunięcia go z urzędu przez Kongres, podał się w sierpniu 1974 r. do dymisji. Zanim jednak do tego doszło, USA omal nie starły się z ZSRR w wyniku rozgorzałej IV wojny izraelsko-arabskiej w październiku 1973 r. (wynikło to z nerwowości Henry Kissingera, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta Nixona, który nie będąc do tego uprawniony, zarządził alarm nuklearny w siłach zbrojnych).

Wojna, co prawda, skończyła się po niecałych trzech tygodniach, ale w jej wyniku wybuchł z kolei kryzys naftowy (zwany też energetycznym), po tym jak kraje OPEC zaczęły gwałtownie i nie jeden tylko raz ostro podnosić ceny ropy naftowej. Wraz z kryzysem walutowym, po dewaluacji przez USA dolara w sierpniu 1971 r. i zawieszeniu jego wymienialności na złoto, koniunktura w świecie zachwiała się w swoich podstawach, z

⁷ Dopiero po latach, po zwycięstwie USA w wojnie z Irakiem na początku 1991 r., uznano wreszcie, że wyzwoliły się one z „syndromu wietnamskiego”;

amerykańską gospodarką włącznie, już wtedy w olbrzymim stopniu zależnej od importu paliw płynnych. Na dobitkę, USA straciły jeszcze Iran, po tym jak fanatyk islamski Chomeini odebrał władzę proamerykańskiemu szachowi Rezie Pahlewi, a podjudzeni teherańscy studenci, oburzeni wypuszczeniem go do USA, w listopadzie 1979 r. zajęli ambasadę USA i przez 444 dni trzymali jej 52 pracowników jako zakładników. A kiedy jeszcze próba ich odbicia przez Amerykanów w kwietniu 1980 r. nie powiodła się, to niezbyt popularny prezydent Carter stracił ostatecznie szansę wygrania wyborów z Reaganem. W dodatku i dlatego, że w kraju szalała inflacja, koszty kredytu pięły się w górę, a ponieważ Carter był jeszcze słabym mówcą i zewnętrznym wyglądem nie dorównywał Reaganowi, co w dobie telewizji jest decydujące, więc wybory miał z głowy. Reaganowi udało się ponadto zaktywizować konserwatywną część społeczeństwa chwytliwymi hasłami, które obudziły jej wiarę w „lepsze jutro”, zapewnione jakoby redukcją podatków, zwiększeniem zbrojeń i „reaganomiką”, której nie rozumiano, ale ją popierano.

Obraz USA, jaki mi się wtedy jawił, był niepokojący jeszcze od innej strony.

W Kosmosie, po tym jak Amerykanie w lipcu 1969 r. wylądowali na Księżycu, nareszcie objęli prowadzenie na tym odcinku, ale mimo spektakularności tego wyczynu, ZSRR miał w tym czasie większe osiągnięcia na wojskowym odcinku. Nie tylko opanował, o wiele szybciej niż tego spodziewano się, zbrojenie rakiet międzykontynentalnych w wielogłowicowe ładunki nuklearne, ale rozwinął również masowo produkcję 10-głowicowych superciężkich rakiet RS-20, zwanych w NATO SS-18, które *wielokrotnie* przewyższały w sile niszczenia amerykańskie rakiety. Niemniej groźną rakieta była również 10-głowicowa RS-18, zwana w NATO SS-19, którą można było odpalać z platformy kolejowej, co uniemożliwiało jej zlokalizowanie na bezkresnym obszarze ZSRR. Zaczął on też masowo spuszczać na wodę atomowe łodzie podwodne, eliminując w tej dziedzinie posiadaną przez USA przewagę. Wreszcie, pomimo porozumienia ABM, zawartego z USA w maju 1972 r., regulującego zasady obrony antyrakietowej, w rzeczywistości uniemożliwiającego jej rozwój, ZSRR potajemnie pracując nad nią stworzył ją (przejęła ją potem Rosja, a USA dopiero teraz próbują ją tworzyć).

Z drugiej strony, stosunki na linii Waszyngton-Moskwa, wówczas powszechnie zwane

stosunkami pomiędzy dwoma supermocarstwami, o dziwo, wydawały się ulegać poprawie w wyniku czego powstał tzw. dwubiegunowy świat. USA bowiem, rozpoczęły z ZSRR negocjacje dotyczące ograniczenia tzw. zbrojeń strategicznych, podpisując dwa porozumienia w tej sprawie, SALT I w 1972 r. i SALT II w 1979 r., co jakoby miało przyhamować jego wysiłki na tym odcinku. Wyglądało to jednak na naiwną wiarę Waszyngtonu, że coś takiego było możliwe.

Wydarzeniem nie mniej ważnym było też podpisanie w Helsinkach w sierpniu 1975 r. tzw. Aktu Końcowego, który w stosunkach Wschód-Zachód spowodował widoczne odprężenie i USA wydawały się być dobrej myśli.

Ale, jak się wkrótce okazało, odprężenie nie trwało długo. Niezależnie od tego, że pod wpływy radzieckie zaczęły dostawać się Jemen Południowy i Etiopia, co mogło zagrażać przewozom żywotnie ważnej dla Zachodu ropy naftowej z Zatoki Perskiej, wpływy te sięgnęły też Angoli, Mozambiku, Nikaragui i nie było pewne, czy na tym koniec.

Zupełnie już niezrozumiałe było natomiast inne i do dziś *niejasne* posunięcie ZSRR, na które USA jakoś dziwnie nie zareagowały i dopiero po szumie podniesionym przez Niemcy Zachodnie ruszyły do akcji. Mianowicie, ni z tego ni owego, ZSRR, w drugiej połowie lat 1970-
ch, zaczął gwałtownie w swojej europejskiej i dalekowschodniej części rozmieszczać trójgłowicowe rakiety pojazdowe średniego zasięgu RSD-10, ochrzczone przez NATO SS-20. NATO na ten krok zareagowało w grudniu 1979 r. decyzją rozmieszczenia w niektórych swoich krajach członkowskich amerykańskich rakiet średniego zasięgu Pershing II i Cruise, choć nie tak zaraz. Decyzja NATO spowodowała gwałtowną reakcję ZSRR i napięcie w stosunkach Wschód-Zachód niebezpiecznie wzrosło. Wzmogło je jeszcze nagłe wtargnięcie wojsk radzieckich do Afganistanu w końcu grudnia 1979 r.

Powodem do wzrostu napięcia w świecie były też wydarzenia Lata 80 w Polsce, ze względu na jakoby możliwą interwencję wojsk ZSRR, a jeszcze bardziej zaatakowanie 20 września 1980 r. Iranu przez Irak z powodu sporu terytorialnego. Nowa wojna w naftowym regionie głęboko zaniepokoiła USA i w trzy dni później została ogłoszona Doktryna Cartera. Sprowadzała się ona do tego, że USA ogłaszały wszem i wobec, iż o ten region, jeśli rozwój

sytuacji zagrażałby ich interesom, gotowe są pójść na wojnę. Tak więc, obok Europy Zachodniej i Dalekiego Wschodu, doszedł teraz trzeci region w świecie, o który USA były gotowe wojować.

Dziś, kiedy już wiadomo czym to wszystko skończyło się, wydarzenia tamtych lat nie wydają się aż tak groźne dla pokoju światowego, ale w momencie ich rozwijania się mogły one w najwyższym stopniu zagrozić mu.

Jak na tym tle jawiły mi się wtedy USA?

Mówiąc najkrócej, odnosiłem wrażenie, że USA jakby *improvizowały* swoje postępowanie zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz. W ich polityce nie było spójności i długofalowego spojrzenia. A jeśli już gdziekolwiek wykazywały niezwykły wigor i determinację, to tylko na odcinku zapewnienia pokojowego i dostatniego bytu Izraelowi. Dowodem tego było porozumienie z września 1978 r. w Camp David, gdzie Carter doprowadził do normalizacji stosunków izraelsko-egipskich, osiągnięcie niewątpliwe, ale jakżeż kosztowne dla USA (do dziś płacą za nie ok. 5 mld dolarów rocznie obu jego sygnatariuszom).

Prezydent Carter ponadto, choć częściowo słusznie, wykazywał zbyt dużą ostrożność w nie zadzieraniu z ZSRR, co wówczas stwarzało wrażenie jakby jego bojaźni przed nim. Przejawiło się to dobitnie najpierw w zamiarze rozmieszczenia w Europie Zachodniej amerykańskiej nowej broni nuklearnej, neutronowej, właściwszej do walki na jej gęsto zaludnionym terytorium ze względu na mniejszą jego masakrę. Carter jednakże sam zrezygnował ze swojego pomysłu co wprawiło w osłupienie natowskich sojuszników USA, głównie RFN.

Słaba też wydawała mi się reakcja USA na radziecką agresję w Afganistanie.⁸

Stąd, na ile mogłem z dystansu mieć w 1980 r. jakieś wyborcze preferencje odnośnie prezydentury w USA, to niewątpliwie bardziej odpowiadał mi Reagan od Cartera. Choćby także dlatego, że do dziś nie mogę mu podarować (a jeszcze bardziej towarzyszącemu mu Zbigniewowi Brzezińskiemu) językowych gaf, popełnionych na lotnisku Okęcie, kiedy to 29 grudnia 1977 r. przybył z oficjalną wizytą do PRL. Po angielsku przemówienie Cartera było przyjemne dla polskiego ucha, ale amerykański tłumacz, nie odróżniający polskiego od rosyjskiego, zrobił z

⁸ Inna rzecz, że „gołąbek” Carter, wprowadzając w odpowiedzi embargo na eksport amerykańskiego zboża do ZSRR był

niego brukowo-humorystyczny bełkot!⁹ Coś takiego było *niewybaczalne* dla supermocarstwa, które w dodatku jakoby demonstrowało swoją przyjazną postawę wobec „spraw polskich”. Skutek tego był odwrotny i wyszło na to, że je lekceważy!

W sytuacji więc, kiedy wydawało mi się, że Kreml, a raczej kompleks wojskowo-policyjny, rządzący efektywnie ZSRR od śmierci Stalina, jakby zdecydował się na III wojnę światową, chwiejna postawa USA mogła go do tego tylko zachęcać.

Dlatego też, choć w moim przekonaniu Carter miał więcej kwalifikacji na prezydencki fotel niż Reagan, to jednak do wyborców jakoś on nie trafił (kiedy w lutym 1982 r. miałem okazję spotkać go na Hawajach, to sam zobaczyłem, jak był mało sympatyczny, zwłaszcza że radykalnie przeciwne wrażenie wywarł na mnie jego poprzednik Gerald Ford).

Wybór Reagana na prezydenta USA powitałem więc z ulgą, choć jeszcze wtedy nie miałem pojęcia jak bardzo fakt ten zaważył na moich losach, ale o tym - przy innej okazji.

Reagan, po zaprzysiężeniu 20 stycznia 1981 r. na 40-tego prezydenta USA, już 30 marca, omal nie zginął z rąk młodocianego wykolejeńca!

Co się działo w USA? Na pytanie to, ani wtedy, ani dziś, w ponad dwadzieścia cztery lata od tego wydarzenia i żyjąc w tym kraju jako jego obywatel - nie mam odpowiedzi.

O swoich doświadczeniach amerykańskich po grudniu 1981 r., jakżeż *odmiennych* od wszystkich poprzednich, niewątpliwie napiszę w innych miejscach, jako że wzbogacają się one nieustannie i na uogólnianie ich ciągle jeszcze za wcześnie. Chciałbym jednak podkreślić z całą mocą, że cokolwiek nie myślałem i myślę teraz o USA, to zawsze miałem i mam na uwadze tak oczywisty fakt, że każdy kraj trzeba *zawsze* porównywać w stosunku do innych.

A pod tym względem USA wypadają *lepiej* od większości krajów świata, o czym pamiętam, nawet wtedy, kiedy wiele ich działań nie znajduje mojego uznania.

Idealnych krajów nie ma i *nigdy* nie będzie.

w rzeczywistości bardziej wojowniczy od „jastrzębia” Reagana, który gdy tylko został prezydentem, to *uchylił* embargo!

⁹ W swoich pamiętnikach *Keeping Faith*, Carter o swojej wizycie w Warszawie nawet nie wspomina, ale wspomina ją Brzeziński w swojej książce pt. *Power and Principle*. Tyle tylko, że winą za ten gorszący incydent obarczy tłumacza, a nie siebie! Znając bardzo dobrze polski, Brzeziński powinien zainteresować się jak znał go tłumacz Cartera.